

KRONIKA LWOWSKA.

Lwowskie recenzje teatralne i lwowscy recenzenci. — Spór o panią Zawiejską. — Wywiady i wywiedzenie w pole. — Kupa śmiechu. — Spór o „Szopena“. — Kłopot p. Michalskiego. — W uznaniu zasług hycelowskich. — Końskie mięso i tragedia końskiego bytu. — Regulamin dla automobilów. — Interpelacya p. Czarneckiego. — Wzorki. — Co ma być z 3 piętrem. — Słowo o operze. — We Lwowie nietrudno o pieniądze. — Niedośłyż samobójca. — Fryzyer. — Zagadkowy projekt. — Na co wios może się przydać. — Nowy ruch w przemyśle krajowym.

Miasto nasze było w ostatnich czasach miejscem kilku sporów, które wprawdzie nie spowodowały rozlewu krwi i nie zakończyły się w sądzie, ale które wywoływały wielkie zainteresowanie.

Pierwszym był spór o Zawiejską. Młoda artystka zaledwie pojawiła się na scenie i już stała się mimowoli kością niezgody między dwoma recenzentami teatralnymi. Lwowskie recenzje teatralne prawdopodobnie nie przejdą do literatury, na czem swoją drogą literatura nic nie straci. Mamy właściwie we Lwowie tylko dwóch dobrych recenzentów dramatu a tymi są: Ostap Ortwin, najlepszy znawca dramatu i Z. Wasilewski najlepszy znawca gry aktorskiej. Z tych pierwszy nie pisuje w żadnym dzienniku lwowskim, a tylko od czasu do czasu drukuje coś w „Krytyce“ Feldmana, drugi bardzo rzadko pisuje sprawozdania z teatru w „Słowie“. Kasprowicz porzucił recenzje, Womela puszcza czasem fajerwerki według swego widzimisię, a z hofratem Krechowieckim przestano się liczyć zdaje się raz na zawsze pomimo, że wpływ swój zachował jeszcze jako cenzor w teatrze. Prócz tych „zawodowymi“ recenzentami chcą być w ostatnich czasach pp. Kornel Makuszyński i Henryk Cepnik. Z tych pierwszy ma przynajmniej jakiś talencik, gładki styl i mógłby z czasem istotnie wyrobić się. Drugi ma tylko dobrą wolę, która jak wiadomo rzadko tylko, a w tym wypadku nigdy nie wystarcza. Między tymi dwoma przyszło właśnie do sporu o Maryę Zawiejską. Grała Maryę w „Warszawiance“ po raz pierwszy. Debiut i premiera, o których się przedtem ani czytało ani słyszało, to najgorszy orzech do zgryzienia dla recenzenta-dyletanta. Zaczyna tedy wahać. Bo nos czasem daje to, czego brakuje mózgowi. Ale dobrze wahać to także sztuka nielada. Tak tedy p. Cepnik podczas antraktu, zaraz po debiucie pani Zawiejskiej, zbliżył się do swego koleżki p. Makuszyńskiego, ażeby zręcznie wybać go, co sądzi o talencie debutantki. Ale Makuszyński jest poetą, a nawet w chwilach wolnych od myślenia humorystą, puszczaającym rakiety humoru w kronice organu, którego jest dumą i sekretarzem. Postanowił więc zakpić wcale nie po chrześcijańsku ze swego kolegi i na pytanie, jak mu się p. Zawiejska podoba, pokręcił nosem. Pan Cepnik nie dał mu dwa razy „pokręcić“, bo chytrym, jak lis będąc, już wiedział, co ma sądzić o grze debutantki. Poszedł uradowany do domu i wypalił taką recenzję, tak bardzo zchepał biedną p. Zawiejską, że ta po przeczytaniu tych komplementów musiała pewnie płakać. Ale nie płakała. Bo w „Słowie“ tenże p. Makuszyński tego samego dnia napisał hymn pochwalny dla pani Zawiejskiej, podnosząc jej niepospolitą inteligencję, talent, rutynę i t. d. Po przeczytaniu koleżeńskej recenzji w „Słowie“. p. Cepnik, tak sromotnie wywiedziony w pole, chciał w pierwszej chwili swego kolegę zastrzelić, albo bodaj zabić czemś bardzo twardem. Ale że nic twardego pod ręką nie miał, prócz pióra, a kolega był w znacznym oddaleniu, przeto zakasał rękawy i napisał artykuł nadziany dynamitem a zatytułowany „O uczciwości w krytyce“, w którym w sposób naiwny ponad spodziewanie, wytyka Makuszyńskiemu nieuczciwość, skoro w antrakcie co innego mówił o p. Zawiejskiej a w sprawozdaniu co innego napisał. Artykuł swój wydrukował p. Cepnik w „Monitorze“, ażeby nikt nie domyślał się, kto jest autorem. A jednak ktoś domyślił się. Był nim sam Makuszyński, który w owym antrakcie tylko z Cepnikiem mówił o p. Zawiejskiej... I napisał p. Makuszyński „wesołą bajeczkę ku rozweseleniu czytelników“ w kronice „Słowa“ wyjaśniając całą sprawę. W teatrze i w lokalach publicznych zaśmiewano się na śmierć...

Tak jest — recenzenci powinni się wprawdzie naprzód porozumiewać, ale szczerze, nie żartem. Inny spór wynikał o „Szopena“, ostatnią operę naszego teatru. Niewiadomski twierdzi, że „Szopen“ jest arcydziełem, Jan Gall jest zupełnie przeciwnego zdania. Spór jeszcze nie zakończony. I jeden i drugi ma poważne argumenty za sobą. I jeden i drugi ma wielu stronników. I jeden i drugi żąda już podobno, że zajął tak skrajne stanowisko. Rokowania w toku. Kasa po stronie prof. Niewiadomskiego. To zdaje się najsilniejszy argument.

W horrendalnym kłopotcie jest p. prezydent Michalski z powodu t. zw. oszustwa wodociągowego w hotelu „Żorża“. W nieobecności pp. Brzezickich którzy byli w Karlsbadzie, „odkryto“ oszustwo wodociągowe, uderzono w wielki bęben, a nawet oddano całą sprawę prokuratury państwa. Brzezicki przerwał kurację, wrócił do Lwowa i wyjaśnił całą sprawę. Oto pokazuje się, że nie było żadnego oszustwa, że inżynier magistratu sam przeprowadził połączenie studni w podwórzu hotelowym z wodociagową rurą i że magistrat na to pozwolił. Teraz p. Michalski już i tak rumiany, jeszcze bardziej się rumieni. Co z tym fantem zrobić? Prowadzić dalej śledztwo? Niema o co. Zastanowić śledztwo? Wyjdzie na jaw panujące w magistracie bezhołowie. Całe prezydium w kłopotcie. A tu z drugiej strony Brzezicki domaga się ukończenia śledztwa, aby jego prawda wyszła. Już wyszła. Na samym początku prezydenckiej kariery, ma p. Michalski taką nieprzyjemność... a całą winę spycha się teraz na dyrektora wodociągów, który podobno pierwszy odkrył oszustwo.

Za to magistrat podwyższył pobory rakarzowi miejskiemu o 400 koron w uznaniu jego niepospolitych zasług około dobra mieszkańców i ich psów. Urząd rakarza nabierze dopiero teraz większego znaczenia, gdy z powodu drożyzny mięsa okaże się wkrótce potrzeba wprowadzenia w handel mięsa psiego.

Końskie mięso już zaczynają sprzedawać w specjalnych jatkach, a konie lwowskie tak strasznie biczowane wbrew postanowieniom statutu Towarzystwa ochrony zwierząt, już teraz cieszą się, że pójda do jatek. Tylko, że jakoś ludzie z niedowierzaniem zabierają się do koniny i proszą, aby — jak dotąd — nazywano ją przynajmniej wołowiną, *Mundus vult...*

Ten los koński nie jest bynajmniej niespodzianką. Wobec kolei żelaznych, samochodów i rowerów, rola konia staje się coraz mniej ważną i prędzej czy później rozstrzygnąć się musi tragedia bytu koni, owo końskie „być albo nie być“ na ich niekorzyść. Ma się rozumieć, że mowa tu wyłącznie o koniach czworonożnych.

Największy wróg końskiego rodu, którego też boi się każdy umięjący patrzeć w przyszłość koń, nazwany raz na zawsze samochodem dlatego, że nigdy sam nie chodzi, doczekał się nareszcie regulaminu, obowiązującego w całej Austrii. Jestto niejako ustawa ramowa, w obrębie której gminy miast mogą wydawać miejscowe regulaminy. Monachijska „Jugend“ przyniosła niedawno dobry dowcip zatytułowany: „Bajka“. Był raz automobil, który nie robił hałasu, nie zostawiał za sobą fetoru, nie przejeżdżał nikogo i był zapłacony gotówką. Do tej „bajki“ możnaby dopisać, że ten automobil z bajki zważał na obowiązujący go regulamin jazdy.

Ale zostawmy to radnemu Czarneckiemu, który przecież znajdzie na to środek niezawodny a tym środkiem są u niego zawsze interpelacje. Nie masz na świecie takiej choroby, której nie podejmie się leczyć p. Czarnecki za pomocą interpelacji na posiedzeniu rady. Obinterpelował już wszystko, co się dało, a chodząc na spacer lub sprzedając masło w swoim handlu na Łyczakowie, o niczem innem nie myśli jak tylko o przedmiotach interpelacji. Pomysłowy prezydent Michalski, który na wszystko ma z góry przygotowaną odpowiedź, radnemu Czarneckiemu nieraz nie potrafi odpowiedzieć, tak bardzo go ten radny zapędza w kozi róg. Ażeby choć w części dopomódz p. Czarneckiemu w jego dziele i uratować mu trochę czasu dla jego handlu korzeni, podsuwam mu kilka ważnych a la Czarnecki interpelacji *ad usum*: Czy pan prezydent wie o tem i co zamierza uczynić, ażeby złemu zaradzić, że 1) przekupki lwowskie nie mają dla radnych należytego uszanowania i wogóle nie grzeszą dobrem wychowaniem, czego dowodem jest choćby ta okoliczność, że radnych miejskich tytułują „panie kupiec“ a nie „panie radco“. 2) że konie tramwajowe zachowują się na ulicy nieprzystojnie, zaniedbują swoje obowiązki, zwłaszcza odkał dowiedziały się o zamierzeniu wprowadzeniu mięsa końskiego w handel, 3) że psy i wogóle inni ludzie uciekają przed rakarzem miejskim tak, jakby on nie był urzędnikiem gminnym. 4) że rakarz miejski złapał bezprawnie psa należącego do pewnej pani będącej sąsiadką ciotecznej brata teściowej pana radnego Czarneckiego, 5) że policyjanci zamiast rozbijać ludzi na pl. Bernadyńskim, chodzą na trzecie piętro do teatru, gdzie żony adwokatów, bankierów, profesorów, milionerów i radnych zmuszone są siedzieć w tem nieprzyjemnym towarzystwie.

Co do tej ostatniej interpelacji, to już ją wniósł, a zamiast prezydenta ja w tem miejscu pozwolę sobie odpowiedzieć. Żony bankierów, profesorów,

adwokatów i radnych mogą sobie pozwolić na droższe miejsca w parterze, lub na 1 i 2 piętrze, skoro nie chcą siedzieć w towarzystwie lwowskich policierów. Teatrowi radziłbym nawet wpuszczać bezpłatnie na każdą premierę bodaj kilkudziesięciu żołnierzy. Wtedy może nie przyjdzie nam nieraz patrzeć na haniebnie pustą salę przy równocześnie nabitem trzecim piętrze, gdzie gromadzi się cała plutokracja lwowska. A jedwabne stroje trzeciego piętra zejda do parterowych miejsc, które są przecież, zwłaszcza w pierwszych rzędach, dość tanie.

Nie mówię oczywiście o operowych przedstawieniach. Wobec niestychanych, jak na Lwów gaź, musiano ceny wyśrubować. Są śpiewacy, którzy pobierają do tysiąca koron od występu. Na tych samych artystach zbankrutowały teatry warszawskie... No, ale my Lwów... bogate miasto! Spytajcie wiceprezydenta Korytowskiego.

Że we Lwowie nie trudno o pieniądze, tego dowodem następujące autentyczne zdarzenie.

Pewien myślący młodzieniec, to jest młodzieniec myślący ciągle nad tem, kogoby naciągnąć na parę „fajgli“, był już w tem położeniu, w którym się pisze listy pożegnalne do rodziny i kochanek, nie płaci się za mieszkanie, kpi się z krawców, szewców i innych t. zw. wierzyteli i myśli się tylko nad sposobem przebycia najkrótszej drogi do nieba. A szkoda, bo był przystojny, rośły, a na kształtnej głowce miał bujny, piękny, czarny włos, którego mu zazdrościł nie jeden łysy lub łysiejący pan. Był właśnie u narzeczonej, u prowizorycznej narzeczonej, która przyrzekła mu oddać rączkę, skoro tylko jakakolwiek otrzymała posadę. Ba, ale we Lwowie łatwiej o kryminał... Świadection nie miał, protekcji mało, umiał tylko pisać... Nowele, wiersze, dramaty, listy — co bądź. A narzeczona zachwycała się niemi. Tylko redakcyje jakoś nie drukowały, z braku miejsca podobno. Przyszedł więc do domu i zaczął pisać pożegnalne listy. Płakał, jak dziecko. Umrzeć — jak mówią — to wprawdzie piękna śmierć, ale nie w tym wieku. Wtem zapukał ktoś do drzwi. Otworzył drzwi. Przyszedł nowy wierzyteli, fryzyer.

— Przepraszam, ale ja nie po zapłatę przychodzę, ja panu jeszcze przynoszę pieniądze...

— Proszę bliżej, bardzo proszę... czy to tylko nie kpiny?

— O, fryzyer i wynalazca Perukiewicz nigdy nie kpi. A więc do rzeczy. Jak panu wiadomo otwieram teraz małą fabrykę kosmetyków. Same własne wynalazki. Otóż jednym z moich wynalazków jest znakomita pomada na porost włosów. Powiadam panu, cud — posmarować kolano a włosy bujne wyrosną za miesiąc...

— Dobrze, ale ja mam dość bujne włosy, na cóż pan mnie to opowiada?

— Cierpliwości, łaskawy panie, zaraz powiem. Wiadomo panu, że dziś nic nie robi bez reklamy...

— A, więc żadasz pan wiersza...

— Broń Boże, tylko chwilę cierpliwości. Otóż, jak powiedziałem, reklama grunt. Chodziłoby więc o drobnostkę, o dwie fotografie tejsamej osoby, na pierwszej fotografii jeszcze łysej, a więc przed działaniem mojej cudownej maści, na drugiej tasama głowa z bujnym włosom, a więc już po całomiesięcznym używaniu pomady.

— Nie rozumiem pana, przecież ja nie jestem łysy, wyszukaj pan łysiego i smaruj mu pan głowę...

— Zaraz, zaraz, o, jaki pan niecierpliwy, dajże mi pan skończyć. Gdybym ja teraz zaczął szukać łysiego i smarował go i czekał aż mu z tego włosy wyrosną, to ten mi gotów tymczasem umrzeć, a potem proszę pana względy konkurencyjne... tego... owego, bo ma pan wiedzieć, że mój konkurent Brzytwiński dowiedział się o moim zamiarze i także zakłada fabrykę. Chodzi mi więc o szybkość.

— Dostaje pan odemnie 200 koron za swoją fotografię... a raczej za dwie fotografie.

— Przecież nie jestem łysy...

— Nie szkodzi, i owszem. Pierwsze zdjęcie zrobimy tak, z włosami na głowie i nazwiemy je „po użyciu pomady“.

— A drugie?

— A drugie bez włosów... To się delikatnie zgoli, a pan przy tak pięknym zaroście odzyska do kilku tygodni ten sam włos — no zgoda?..

— E... nie...

— Za to panie dwieście koron w złocie... rzekł dumnie fryzyer pomysłowy, wyciągając portmonetkę.

Jeżeli ta portmonetka nie pokrzyżuje szyków dowcipnemu fryzyerowi, to wkrótce wyczytamy w inseratach: „5000 koron nagrody dla łysych? Obok zamieszczono dwie fotografie, mogą każdego przekonać, że nasz przemysł krajowy i t. d. i t. d... albo „Byłem łysy!“.. albo tłumaczenie: „Ich Anna Csilag“... albo jeszcze co innego. Klewe.